

ZIELONE KASZTANY

JANUSZ
DOMAGALIK

Janusz Domagalik

ZIELONE KASZTANY

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-75-0

Copyright © tekstu Krzysztof Domagalik

Projekt okładki: Marcin Labus

I.

Przyznaję: ja również wiem więcej, dzisiaj wiem chyba dużo więcej. Może nawet mógłbym to wszystko opowiedzieć?

— Wszystko? — i Ewa uśmiecha się, przechyla głowę, więc kładą jej się włosy na ramieniu, tylko na moment, bo odgarnia je szybko, nerwowo. — Wszystko?

Nie jestem pewien, czy te słowa zostały powiedziane, ale widzę jej uśmiech i myślę, że ma rację: za każdym razem przecież, kiedy zastanowić się, choćby zatrzymać się tylko dla nabrania oddechu, za każdym razem coś innego wydaje się ważniejsze i wcale niełatwo pojąć, gdzie jest czego początek i co wcale nie jest końcem.

Patrzę na Ewę i jakby sam sobie mówię to, co ona widocznie już wie, skoro i mnie pomogła zrozumieć.

— Cokolwiek powiesz, Marek, usłyszę to zawsze po swoimu. Choćbyś nawet najbardziej chciał, nie opowiesz nigdy, jak było naprawdę. Dla ciebie to już było i równocześnie wciąż jest. A dla mnie każde twoje słowo tak będzie prawdziwe, jak ja to usłyszę.

1

Nie miała imienia. Długo nie miała i nie mogła przecież mieć, nie wiem zresztą, ale chyba nie mogła, skoro jej samej również nie było. Może czekała dopiero na swoje imię i wiedziałem o tym, czekając razem z nią? A może nawet sobie nie chce się przyznać, że czasem dawałem jej... nie, wypożyczałem dla niej jakieś imię, nie zawsze to samo. Bo przecież jej nie było.

A jednak istniała na pewno, mało czego byłem tak bardzo pewien, jak właśnie tego, że ona jest. Znałem ją dobrze, bo była dokładnie taka, jaką chciałem ją znać. Umiała się śmiać, kiedy na jej śmiech czekałem, płakała nade mną i za mnie, kiedy ja nie mogłem płakać, bo nie potrafiłem, choć czasem bardzo bym chciał. Umiała do mnie mówić, bo mówiła moimi myślami. Nie ma takich miejsc, gdzie nie byliśmy razem, jeśli tylko potrafiłem je sobie wyobrazić. Nie umiała jednak, dopiero teraz wiem, to ciekawe, ale nie potrafiła wtedy powiedzieć mi o sobie ani o mnie nic takiego, czego nie chciałbym usłyszeć.

Czasem, przez chwilę albo i dłużej, jakbym widział jej twarz, sylwetkę, jakiś gest z jej strony. Widziałem i równocześnie zdawałem sobie sprawę, że to już nie ona, że to jeszcze nie ona. Były to gesty i twarze również wypożyczone dla niej, więc odrzucałem je, może nie od razu, na pewno nie zawsze od razu, ale wreszcie odrzucałem, odbierałem jej te wypożyczone twarze, imiona i znów przestając być kimś konkretnym, stawiała się sobą, całkowicie, ale daleko nie do końca wymyśloną. Kim więc była?

Nie tylko Ewa mogłaby zapytać:

— Czy to jest o mnie?

Bardzo dobrze chyba, że Ewa nigdy o to nie zapyta, a nikt inny tym bardziej się nie odważy. Bardzo dobrze.

Kim ona była: marzeniem, oczekiwaniem? Może tylko przeczuciem albo zapowiedzią? A może wszystkim tym równocześnie i jeszcze czymś? Lękiem przed kimś lub przed czymś określonym. Brakiem kogoś. Więc tęsknotą?

Kiedy pierwszy raz pojawiła się przy mnie, nie pamiętam, nie chcę wiedzieć albo nie jestem w stanie uświadomić sobie tego. Kiedy odejdzie? Czułem niejasno, że chyba nigdy, ale chciałem wierzyć, że to nastąpi, i czekałem na tę chwilę, gdy zamiast niej, dokładnie w jej miejsce zjawi się ktoś żywy, z własnym imieniem i twarzą, z własnymi myślami, nie moimi...

I jakbym teraz słyszał:

— Marek...

— Chciałaś jednak o coś zapytać?

— Czy to jest o mnie? — pyta Ewa. — Czy teraz to jest już o mnie?

— Czekałem na nią, wiesz? — odpowiadam. — Rozumiesz mnie? Czekałem.

Mogę odpowiedzieć tak szczerze, bo przecież nikt mnie o nic nie pyta, odpowiadam sam sobie i niczego nie ryzykuję mówiąc, iż czekałem. I znowu nie wiem, czy bardziej boję się pytań, czy własnych odpowiedzi. Ale przecież nie powiedziałem jednak, że wciąż czekam. Więc może tak właśnie jest: czekałem.

A kiedyś — i jest to ważne dla mnie, wiem na pewno — kiedyś stary Orzechowski przyniósł do klasy brzoskwinie. Piękny, dojrzały owoc. To, że jak zwykle nie powiedział dzień dobry i patrzył na nas wszystkich jak na powietrze, nikogo oczywiście nie zdziwiło. Ale brzoskwinia na lekcji była czymś zupełnie nowym i nieoczekiwanym.

Podniósł ją do góry, potrzymał przez chwilę w ręku i powiedział suchym, niemiłym głosem:

— Klasa będzie rysowała ten owoc. Nie dyskutować i nie pytać dlaczego. Zwrócić uwagę na przenikanie kolorów. Ostrożnie z czerwienią, bo to nie pomidor. Cieniować oszczędnie. Zaczynać.

Położył brzoskwinie na stole i usiadł, zapatrzył się w okno, w jednej chwili odpłynął nam z klasy, przestał być obecny.

— Ale nas urządził! — jęknął Zawistowski. — Choćbym miesiąc tu siedział, to i tak tego nie narysuję. Samochód tak. Domek z ogródkiem, owszem, bardzo proszę. Ale brzoskwinie?

Zabraliśmy się do rysowania. Ja również byłem wściekły. Co prawda wiedziałem, że jakiś tam owoc zawsze mi wyjdzie. Jak nie brzoskwinia, to jabłko, kto zresztą odróżni. Wściekły jednak byłem, bo wszystko to nagle wydało mi się zupełnie idiotyczne. Robi z nami, co chce. Smarujemy kredkami jak przedszkolaki. Po diabła w ogóle te lekcje z Orzechowskim? Zwraca się do nas jak stangret do koni...

— Idzie ci? — spytał półgłosem Kmita.

— Jak krew z nosa... — odpowiedział za mnie Zawistowski. — Żeby to domek z ogródkiem, ale coś takiego? Tego się w ogóle nie da narysować.

Rysowaliśmy jednak, jak tam kto umiał. W klasie było cicho, Orzechowski siedział teraz z wyciągniętymi nogami i lekko opuszczoną głową. Nagle wstał. Sięgnął do kieszeni, jednej, drugiej...

— Co on jeszcze wymyśli? — mruknęła Katarzyna.

Prawie wszyscy przestali smarować kredkami swoje pokraczne karykatury brzoskwiń, bo stało się coś wyjątkowego. Profesor Orzechowski nagle przemówił jak człowiek.

— To jest najpiękniejszy owoc, jaki natura stworzyła. Nie wiem, czy mnie zrozumiecie... Brzoskwinia to drzewo życia. I miłości. Jest na ten temat kilka legend. Jedna z nich mówi, że kiedy na świecie niczego jeszcze nie było, rosło sobie brzoskwiniowe drzewo, pełne dojrzałych owoców. Nagle powiał wiatr i spadły z drzewa brzoskwinie, a każda pękła na dwie części. Z jednej połówki brzoskwini powstała kobieta, a z drugiej mężczyzna. I wszyscy ci ludzie rozeszli się po pustym świecie, bo nie wiedzieli jeszcze, że są sobie nawzajem potrzebni. Szukają się teraz, wciąż się szukają, i na tym polega życie...

Profesor Orzechowski znowu sięgnął do kieszeni. Wyjął scyzoryk i ostrożnie rozciął brzoskwinie. Na jego dłoni pojawiły się złociste kropelki soku, przeciekały mu przez palce. Wpatrywał się w rozcięty owoc, tak jak my wszyscy.

Wstała Katarzyna.

— Panie profesorze... I zdarza się czasem, że odnajdą się na świecie te dwie połówki? Co wtedy? — spytała cicho, bardzo poważnie.

— Wtedy ludzie wiedzą, że są szczęśliwi... — odpowiedział Orzechowski, jakby czekał na to pytanie. — Wtedy wiedzą...

Odwrócił się do nas tyłem, położył rozciętą brzoskwinię na stole, podszedł do okna i szeroko je otworzył. Znowu nam stary Orzechowski odpłynął, przestał być obecny. I każdy z nas został sam z tym, co rozumiał, co wtedy mógł zrozumieć.

Dzisiaj wiem chyba dużo więcej.

2

Zaczynały kwitnąć akacje, kiedy przestałem chodzić do szkoły. Pierwszego dnia stało się to jakby bez mojego udziału, samo z siebie, nie wynikało z wcześniejszej decyzji. Wyszedłem przecież rano z domu.

Spostrzegłem go nagle. Tym samym chodnikiem szedł z przeciwnej strony, wprost na mnie. Zwolniłem i on również. Było jasne, że spotkamy się przy wejściu na szkolny dziedziniec. Jeśli teraz któryś z nas nie przyspieszy, wejdziemy w bramę jednocześnie. Ale nikt nie przyspiesza. Patrzymy na siebie, zbliżając się krok po kroku. Nic nie mogę wyczytać z jego twarzy.

Zdecydował się przyjść, więc może rozumiał, o co toczy grę z samym sobą. A może chce podjąć walkę z nami, chciałbym tego, najwyższy czas, Markoniec, żebyś podjął taką decyzję. Popatrz, jakie to proste: postanowiłeś wrócić i oto spotykasz mnie, zaczynaj... Stałem.

Już nas dzieli tylko szerokość bramy. Chcę go przepuścić. Chcę, żeby wszedł pierwszy. Czuję, że jeśli teraz nie wejdzie do szkoły, to już tu sam nie przyjdzie. Cały czas patrzymy na siebie. Co on czyta w moich oczach? Chciałbym, żeby wyczytał zachętę: wejdź; stanę po twojej stronie i choćby miało mnie to kosztować bardzo drogo, pomogę ci odegrać się na nas. Pozwól mi dać ci szansę, zacznij walczyć, zacznij ode mnie. Wygrasz. Bo tak postanowiłem i pomogę ci wygrać, teraz pomogę ci przeciwko nam wszystkim. To takie proste, zrozum to...

Przystanął. Między nami przechodzą ostatni uczniowie spieszący do szkoły. Już słyhać pierwszy dzwonek, zostajemy sami przed bramą, dziedziniec pustoszeje. Na co on czeka? Przecież nie potrafię, nie mogę tego wszystkiego głośno powiedzieć. Musi sam zrozumieć to, co chcę mu przekazać.

Nie rozumiał? Powoli odwrócił się ode mnie i zaczął odchodzić. W tamtą stronę, z której przyszedł.

— Marek! — krzyknąłem.

Ani drgnął. Oddalał się tym samym spokojnym krokiem, jakim szedł w tę stronę. I wtedy ja zrozumiałem, że jednak wyczytał z mojej twarzy wszystko, co chciałem. I dlatego odszedł. Musiał bardzo jasno uświadomić sobie tę szansę, jaką mu dawałem. I właśnie ją odrzucił. Przegrałem. Dopiero teraz naprawdę przegrałem.

Przestałem chodzić do szkoły. Tamtego pierwszego dnia włączyłem się po całym mieście, potem rozmaicie bywało. Świeciło słońce, kwitły akacje, właśnie tak to widzę. Na co czekałem? Nie próbowałem sobie wtedy nawet zadać tego pytania. To wszystko było jak bolesna, męcząca choroba, w której wiadomo, że musi coś się stać, ale człowiek sam nie jest zdolny do zrobienia ani jednego kroku, ani jednego gestu nawet. Przemyka tylko oczy i czeka, aż coś się stanie. Złego lub dobrego. Raczej złego.

Gdzie jest początek? W jakimś pierwszym kroku, w jakiejś pierwszej myśli, czy może tam dopiero, gdzie już wiadomo, co wyniknęło z różnych myśli i różnych kroków, z których każdy osobno nie da się wytłumaczyć inaczej, jak tylko tym, co było wcześniej, co było potem. I nie tylko tym. Idzie się po prostu, inni również idą. Do czegoś się idzie, nigdy z góry nie wiedząc, z kim się tam dojdzie, nie wiedząc nawet, kiedy wypadnie stwierdzić: już jestem. I równocześnie, w tej samej chwili znów idzie się dalej, z kimś albo przeciw komuś. A dalej to wcale nie znaczy: w tę samą stronę. Czy to jest tak właśnie? I czy tylko tak?

List od Kowala był krótki i rzeczowy. Nie pokazywałem go nikomu, ale i nie zniszczyłem, wydawało mi się wtedy, w pierwszej chwili, że będę musiał i potrafię na niego odpisać.

Znakomity nasz bramkarz Kowal, chłopak dobry i nie wiadomo czemu mający do mnie zaufanie, zderzywszy się z problemem, że dwa i dwa to nie zawsze musi być cztery, poczuł się oszukany i chciał wiedzieć, jak było naprawdę.

Co ja ci, Kowal, mógłbym odpisać? — myślałem. Nawet gdybym w końcu chciał odpowiedzieć na ten twój berliński list, nie potrafię tego zrobić, bo sam nie wiem, jak było wtedy naprawdę na warszawskim dworcu. I nie chcę wiedzieć, i do niczego mi ta wiedza nie jest potrzebna. Ani tobie, ani nikomu.

To był piątek. Dla nikogo pewno nie miał ten fakt żadnego znaczenia. Dla mnie miał. Pakowałem plecak na zagraniczny obóz, a równocześnie dziadek przygotowywał się do szpitala. Irina też pakowała się tego wieczoru. Ich klasa miała jechać na wycieczkę do Krakowa. Wyjazd w sobotę rano, autokarem, powrót w poniedziałek. Tak zapowiedziała. Więc szykowaliśmy się wszyscy do opuszczenia domu tak nerwowo, jakby bomba miała w niego trzasnąć lada chwila...

Po co ci zresztą znać prawdę, Kowal? Dlaczego wysiadłem z tamtego pociągu, nikt nie będzie wiedział, czyli każdy będzie wiedział swoje. Ważne jest tylko to, że zostałem w Warszawie. Co zresztą zrozumiesz, jeśli niczego nie wiesz o tym innym piątku, znacznie wcześniejszym. Kiedy jeszcze nie kwitły akacje. Takim sobie niby zwykłym dniu, jakich wiele biegnie jeden po drugim.

Ja już wiem, że nie ma dni zwykłych i niezwykłych. Wszystkie grają swoją rolę, choć tego często nie dostrzegamy, i potem zdziwienie: gdzie początek? Co się takiego wydarzyło i kiedy właściwie? Głupie trzy kartki z kalendarza, na przykład: piątek, sobota, niedziela. Co to znaczy: z piątku na niedzielę? To może znaczyć: byle kiedy, nawet nie wiadomo kiedy.

Dla mnie to znaczy dokładnie tyle, ile znaczy. Teraz, dzisiaj. Kiedy już wiem więcej.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI